



W narodowym programie francuskim w czasie Festiwalu w Warszawie wystąpiło Trio „Erivans” na harmonijkach ustych: Serge Nahabedian, Jean Nahabedian i Jean Buecher.

Fot. Z. Wdowiński

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 14 VIII 1955
Rok VI Numer 31

Cały kulturalny świat obchodzi w tym roku 150-lecie śmierci wielkiego poety niemieckiego epoki romantyzmu — Fryderyka Schillera. W związku z tym zamieszczamy poniżej artykuł, odwołujący się do interesujących szczegółów obchodów rocznicy Schillerowskiej w Poznaniu w roku 1905.

Fryderyk Schiller w Poznaniu

...którego geniusz stał się własnością całego świata.

Florian Miedziński

Słowa te czytamy w komunikacie Teatru Polskiego w Poznaniu, zapowiadającym wystawienie w dn. 9 maja 1905 roku „Zbójców” Fryderyka Schillera, w stulecie zgonu wielkiego niemieckiego poety. Jak zaznaczono, postanowiono oddać mu hołd, gdyż „z dzieł jego wieje duch praw dziwej wolności”.

Dziś uważamy nie tylko za rzecz jak najbardziej naturalną, lecz za obowiązek czczonej pamięci poety, który twórnością swoją wyrósł ponad swój czas i torował nam drogę hasłom wolności ludów. W r. 1905, kiedy przypadało stulecie zgonu Schillera, właśnie w Wielkopolsce jakże łatwo w zamęcie niezwykle ostrej wal-

ki narodowościowej mogła zostać przyćmiona wielkość poety, z którego sztandarowego meża wojującego germanizmu uczynili ci, dla których istnienie polskości było codziennym kamieniem obrazu.

W r. 1905 istniał już od 10 lat oślawiony „Ostmarkenverein”, dzieło duchowe Bismarcka i główny instrument najbardziej nienawistnej polityki antypolskiej. Na cele wojownicze Polaków z ziemi ojczyźnej udzielono do tego roku Komisji Kolonizacyjnej ogromną sumę 750 milionów marek. Było to zaledwie 4 lata po tragicznych zająściach wrzesińskich, przypominanych stale brutalnym usuwaniem resztek polskości ze szkoły. Obowiązek tępienia polskości głosił zarówno oficjalni przedstawiciele władz, jak i nauki, kościoła i życia gospodarczego, a Niemców, którzy utrzymywali choćby tylko poprawne stosunki z Polakami, pętnowano jako „zdradców narodu niemieckiego”.

Nawet obchody ku czci Schillera przekształcono na jeszcze jeden moment walki z polskością. Rzecz najwartejszą w twórczości poety — jego głęboki humanizm i umiłowanie wolności jednostki i narodów, miejscowa prasa niemiecka przedstawiała jako „kosmopolityzm”, któremu poeta uległ „przejściowo”. Schiller poeta grabieżczego germanizmu — oto jak tu w „marchii wschodniej” przedstawiono go w powodzi nacjonalistycznej frazeologii.

W tych ówczesnych warunkach tym jaśniej wybiła się stanowisko kierownictwa miej-

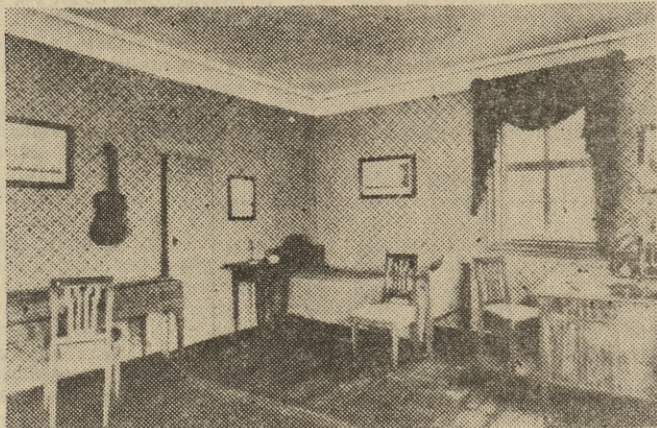
scowej sceny polskiej, które nie dało się wciągnąć do gry hakatystycznej nienawiści. Ponad przemijające okoliczności chwili widziało ono nieprzemijającą w badnych warunkach wielkość piętny wolności!

Zachodzi jednak pytanie: jak odniósł się do rocznicy wielkiego poety niemieckiego miejscowe społeczeństwo polskie w jego odłamie mieszczańskim? Odlam ten, a dający wówczas ton życiu polskiemu miasta, jako skutek

okazji dodać, jak to przypominała Anna Mińska w jednym z numerów „Teatru”, że to Wielkopola Wojciech Bogusławski po raz pierwszy w Polsce wystawił „Zbójców” w r. 1803 w warszawskim Teatrze Narodowym).

„Polskie teatry — pisano — oddały część należną wielkiemu poecie Niemiec i dzieła jego, na równi ze Szekspirowskimi, dostarczyć powinny część podstawowego repertuaru scen polskich.”

W chwili, kiedy burżuazja — junkierskie Niemcy — dochodziły szczytu swej buty, a w stosunku do Polaków głośiły barbarzyńskie hasło „aus-



Weimar. Pokój, w którym pracował i zmarł Fryderyk Schiller.

CAF

wał narodowościowej odczuwał bezkompromisową walkę gospodarczą, nie rozróżniał zaś klasowego rozwarstwienia narodu niemieckiego. Tym bardziej przeto jest znamienne, że główny w owej chwili organ mieszczaństwa „Oreodownik” („Kurier Poznański”) w tym czasie już nie wychodził, poświęcił stuleciu zgonu Fryderyka Schillera osobny artykuł. Jeśli uwzględnić klasową ciasnotę poglądów tego pisma, które z całą zaciętością zwał czoło ruch robotniczy, a w sprawach narodowych zalecało „przezorność”, jakże ton artykułu o Schillerze odbiega od niskiego na ogół poziomu poznańskiego pisma mieszczańskiego. Artykuł na pewno więc nie był pisany przez kogoś z redakcji, lecz musiał pochodzić zapewne z polskich miejscowych sfer kulturalnych, wobec czego możemy go traktować jako wyraz oświeconej polskiej opinii miejscowej, fakt zaś, że wydrukował go „Oreodownik” ma swoją szczególną wymowę na tle ówczesnych stosunków wielkopolskich.

W artykule przypomniano, że już w początkach XIX wieku zaczęto przekładać twórczość poety niemieckiego na język polski, że już wtedy dramaty jego weszły na scenę teatrów polskich. (Warto przy

rotten”, nie mogły oczywiście nie nasuwać się refleksje, jakże inne są Niemcy hohenzollernowskie od „Niemiec przy-szości”, opiewanych przez poetę).

„Daleko odlegli Niemcy od wskazań wieszczu swego. Gdyby żył, przeraziłby się pustką serca i myśli, bezbrzeżnym zanikiem wszelkich uczuć wśród swoich rodaków. On, który był wcale-niem dobrego, piękna, prawdy i sprawiedliwości, on, który na szczytach swym wypisał najszczytniejsze hasła wolności i miłości, jakże głęboko czułby się u pokorzonego i zawstyżonego niską małodusznością swych dzieciów.”

Nie dziwny się, że nawet najbardziej kulturalny autor spośród miejscowego polskiego społeczeństwa mieszczańskiego widział „dziedziców” Schillera w rządzącym klasowym odłamie narodu niemieckiego. Poglądami swojej klasy mierzył on naród niemiecki, nie mógł przeto dostrzec, że prawdziwymi dziedzicami wskazań Schillera byli nie Hohenzollernowie i ich burżuazja, lecz ta wielka część narodu, która toczyła walkę własną o „Niemiec przyszłości” — dziś w wyraźnym już obrazie rysujących się między Odrą i Łabą. Niemniej anonimowy autor sprzed pół wieku pisał jakże słusznie:

„A przecież duch jego (Schillera) żyje i żyć będzie, szczególnie wśród tych, co zasnali gorzkiego chleba niewoli, którzy nie zatarli wiary w ideały dobra i sprawiedliwości. Żyć będzie przede wszystkim w Polsce, na której umysłowość wywarł wpływ potężny...”

Dlatego i dziś, zasługuje na hołd wielki bojownik o ideały wolności, wielki mistrz słowa pieśni, którego duchem wyprzedził swą ojczyznę o kilka pokoleń, i stanął na szlaku geniuszów, wiodących ludzkość do poznania dobra, prawdy i piękna.”

Te pełne humanistycznego zapachu słowa nie mogły być oczywiście miłe hakatystom, którzy chcieli mieć „swojego” Schillera, przekształconego na poetę imperialistycznego barbarzyństwa. Główny ich organ miejscowy, „Posener Tageblatt” usiłował więc niemrawo ironizować: „Po prostu oczekiwaliśmy, że Polacy prawie że przywłaszczą sobie Schillera. Zbędne jest przeto sprzeczać się (...) na ten temat”. — Zaledwie też jednym zdaniem organ hakaty-

Fot. Laskowski

(Dokończenie na str. 2)

Janusz Likowski

(Korespondencja własna)

„Nudne” spotkanie na Foksalu

Przyznam się szczerze, że siedząc na to spotkanie raczej z obowiązku. Początek spotkania młodych dziennikarzy różnych krajów raczej potwierdzał przewidywania. Młody Włoch, który zebraniu przewodniczył, prawil rzeczy skąd inąd słuszne, ale nudne, bo powszechnie znane.

...a drukarnia
za oceanem

Sytuację zmienił gość z Tunisu. Poruszył on zagadnienie sytuacji prasy w krajach kolonialnych. I odtąd trzeba było wziąć pióro do ręki i notować. Posłuchajcie przedstawicieli Indii Zachodnich (Ameryka Środkowa) — red. Christowo. Opowiedział on, jak to cenzura w jego ojczyźnie służy dławieniu ruchu narodowego. Czarnoskóry dziennikarz należy do „Karaibskiej Konfederacji Pracy”, która jest organizacją legalną, posiadającą przedstawicielstwo w parlamencie... A mimo to władze kolonialne nie pozwoliły tej organizacji na wydawanie oficjalnej gazety. „Wia-domości Karaibskie” drukuje się więc w Londynie. Gdy jednak kiero-wane z Londynu kolonialne władze w Indiach Zach. schwycą mieszkańca archipelagu z tą gazetą, o-trzymuje on... karę w wysokości sześciu miesięcy więzienia, czego można uniknąć zapłaciwszy 120 funtów grzywny. Robotnik karaibski zarabia jednak tylko jeden funt tygodniowo...

„Niewolno nas czytać”...

Mało tego! Red. Christowo z oburzeniem opowiada, że książek, które sprzedaje się w Anglii na każdej ulicy, w każdej księgarni — nie wolno sprowadzać do jego ojczyzny. Czytanie podlega karze.

„Czy dziwicie się — pytał nasz czarny kolega — że wskutek tego cenzura odgrywa rolę skutecznego tłumiciela ruchu narodowego. Cóż pomoże fakt, że drukujemy nawet spory nakład, około 40.000 egzemplarzy, skoro nie możemy swobodnie rozprowadzać „Wiadomości Karaibskich?”

Bezpośrednio po red. Christowo wstał zastępca naczelnego redaktora młodzieżowego pisma „Challenge” red. Robin Corbett, wysoki jak tyka, o myśliciach, niebieskich oczach i rzyżych, lekko falujących bujnych włosach. Głos mu trochę drżał, widocznie nie był przyzwyczajony do przemawiania, choć to — co słyszeliśmy — było bardzo ciekawe i zgola zaskakujące. Pismo „Challenge” ukazuje się w Anglii od dwudziestu jeden lat. Od takiegoż czasu redakcja walczy o wolność narodów kolonialnych. Gdy to powiedział, wszyscy dele-

Wróg ponuraciwa

Długo jeszcze mówił sympatyczny, młody Anglik o zawodowych zagadnieniach dziennikarstwa pisa-czego dla młodzieży. Nawoływał do ciekawych form twórczości, atrakcyjnych tematów, pisanie z humorem, a jednocześnie obiektywnie, celnie. Można więc powiedzieć, że liczne na sali grono antyponuraków westchnęło z radości. „Mamy towarzyszy walki z nudziarzami, ważniakami i sztywniakami nawet w Anglii!”

Ale już znowu zabiera głos młody dziennikarz portugalskiej kolonii Angola w Afryce. W jego kraju jest 99 proc. (!) analfabetów. Żadnej szkoły, żadnego czasopisma w języku ojczystym w Angoli wydawać nie wolno. Młody Murzyn musi się najprzód uczyć obcego języka, by nauczył się alfabetu. Tu trzeba przyznać, że faszystowski rząd dr. Salazara w Lizbonie bije wszelkie rekordy. Mimo ciekawych uwag warsztatowych redaktora „Challenge” — w kącie uciekają jego uwagi. Na plan pierwszy wysuwają się goście z krajów, gdzie nie ma wolności słowa, gdzie o polityce nie tylko nie wolno mówić, ale i pisać w gazetach.

Komisarz policji
— redaktorem

Najciekawiej opowiadał o tym red. Gregorio Bareto z Wenezueli: „Czy wiecie, moi przyjaciele — mówił on — że u nas materiał redakcyjny trzeba najprzód zano-sić do komisarsza policji, potem — również przed drukiem — do tajnej policji politycznej, no, i gdy rezydent wielkich monopolii zagranicznych, do których należą wszystkie legalne gazety wenezuelskie, wyrazi swą zgodę, artykuł może się ukazać! Nie dziwicie się więc, że nie tylko o Festiwalu nasi rodacy w Wenezueli nie czytają ani słowa. Jest znacznie gorzej. Żadna z gazet wenezuelskich nie zamieściła najmniejszej nawet wiadomości o... konferencji genewskiej”.

Oto, co mieli na myśli delegaci krajów kolonialnych lub półkolonialnych, gdy domagali się podjęcia rezolucji potępiającej metody cenzury. Byli przy tym osobiście zaangażowani w tę sprawę. Gdy wniosek prezydium pominął w składzie komisji redakcyjnej przedstawiciela Ameryki — czarny dzien-

karz z Jamajki ostro zaprotestował. Przy ogólnym aplauzie wybrano dodatkowo red. Christowo.

Przyznam się szczerze, że dopiero teraz zrozumiałem, a raczej znalazłem pokrycie w faktach na wielokrotne poruszenie zagadnienia swobody informacji. Zaczęłem cenić zdobytą przez nas samych wolność słowa, która dotąd wydawała mi się rzeczą zwyczajną, rozumiejącą się sama przez się.

Tak, Festiwal może każdego czegoś nauczyć.

Włodzimierz Scisłowski

Przed odjazdem

Pożegna Was uśmiech, mocny uścisk dłoni
i żal nieuchwytny na przyjaznych twarzach,
i wiatr Wam piosenki ostatnie rozdzwonił,
i brzechwa słowa co dzień każdy z Was powtarzał.

Przypomni Wam może zakątki znajome,
a słońce raz jeszcze maśnię Was swym blaskiem —
migną Wam ulice, rozjaśni się domy,
pamiętajcie o nich — to domy warszawskie!

Kiedy znicz wygaśnie na wielkim Stadionie,
ostatnia fanfara krok Wasz odprowadzi
i po raz tysięczny uściskną się dłonie
w złoczonej przyjaźni, ogromnej gromadzie.

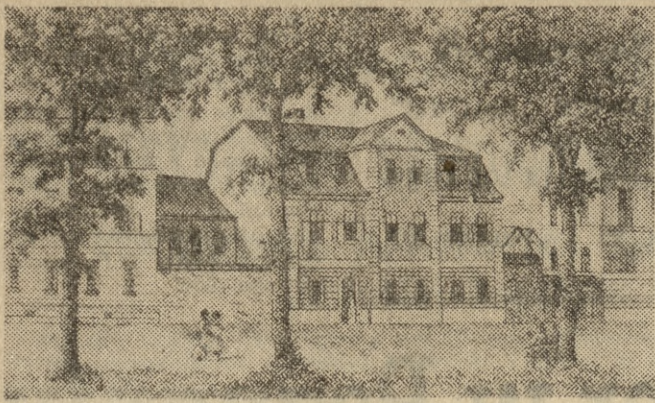
Pożegna Was zapach letniego południa,
szum naszych gołębi i rozmowa Wisły,
która zadziwiona, że brzeg się wydłudnia,
pyta Was o ścieżki, którymiście przyszli.

A tymi ścieżkami cały świat pocięty —
najdalsze krainy swą barwą rozjaśnił —
przez morza i góry łączą kontynenty,
a schodzą się w sercach bijących przyjaźnią.



Tu w pałacu śmiełowskim drugą połowę sierpnia 1831 roku po przyjeździe z Dreżna spędził Adam Mickiewicz, pragnąc przedostać się przez Prośnę do Królestwa Kongresowego, aby wziąć udział w powstaniu. Na terenie naszego województwa znajduje się więcej dworów, w których gościł wielki poeta.

Fot. Laskowski



Dom w Marbach, w którym urodził się Fryderyk Schiller.

Wśród nowych książek

Z kamienia i z cegły

Przeczytajmy książkę Danuty Bieńkowskiej pt. „Żywe miasta”. Z góry przewidziano — nie jest to kieszonkowy przewodnik po polskich miastach informujący o ilości mieszkańców i o „najważniejszych zabytkach”. Jest to solidnie opracowane studium o najważniejszych miastach polskich, o tych miastach, w których szczególnie żywo bije tętno nowego życia. Są więc w książce Bieńkowskiej przede wszystkim dzieje naszej stolicy — miasta-bohatera, są dzieje pradawnego Krakowa, który z takim trudem odrzucił z siebie patynę średniowiecza, Łódź robotnicza, nadbrzeżne Trójmiasto, miasto śląskiego zagłębia, Częstochowa i kilka innych.

Wszystko co można powiedzieć o mieście zostało tu powiedziane. A więc od strony historycznej: miasta polskie jako rezultat przemian gospodarczych w okresie feudalizmu, ich gwałtowny rozwój w epoce kapitalizmu, okresy upadków w związku z wybuchającymi kryzysami — zjawiskiem nieodłącznym od gospodarki kapitalistycznej, pokazana jest w historycznym rozwoju rosnąca rola mieszczan, a potem — klasy robotniczej.

Ale miasta mają jeszcze i swoją historię, można rzec — zewnętrzną; historię swoich murów, z których niejedno można wyczytać. Jakże różny jest np. Kraków od Łodzi! Każde miasto miało przecież swoje własne, pierwotne założenie urbanistyczne, które kształtowało jego dalszy rozwój, na murach każdego miasta wyrzyna się jego historia. W każdym mieście znalazły odbicie istniejące sprzeczności klasowe. W każdym mieście zobaczyć można ten sam, jakże wymowny kontrast dzielnic monumentalnych pałaców i luksusowych will, obok których sterczą odrapane, cudem trzymające się kupy rudery biedaków. W książce Bieńkowskiej znajdziemy wiele obrazków z różnych miast polskich, ilustrujących wymownie te nieodłączne od każdego kapitalistycznego miasta sprzeczności klasowe.

Fryderyk Schiller w Poznaniu

(Dokończenie ze str. 1)

styczny skwitował wystawienie „Zbójców” przez Teatr Polski...

W innych warunkach obchodził naród polski 150-lecie zgonu Fryderyka Schillera. Żyjemy w wolności, którą opiewał, tym więc bliższy jest nam.

A jeśli w Niemczech zachodnich, podczas uroczystości ku czci Schillera w Düsseldorfie, przedstawiciele władz z Bonn demonstracyjnie opuścili salę, ponieważ burżuazyjni, lecz pa cyfistyczny pisarz Fritz von Unruh twórczości poety przeciwstawił imperialistycznej polityce tej części Niemiec — to istnieją już jednak i „inne Niemcy”. One to stały się „dziedzicem” wskazań poety.

Podobnie jak pół wieku temu hakatyści poznający od mawiali Polakom prawa do czerzenia Schillerowskich ideałów wolności — podobnie dziś niemieckie koła nacjonalistyczne usiłują sarkazmem zbliżyć nasz współczesny hof, jakoby socjalizm „przywłaszczył” sobie Schillera. To, co wtedy pisało, jest dziś jednak jeszcze bardziej słuszne: geniusz Schillera stał się własnością całego świata. W imię tej prawdy młodzież świata uczela jego pamięć w trzynastym dniu festiwalowych uroczystości.

Florian Miedziński

Klemens Raczak

Głos odbiorcy sztuki

Tych wszystkich, którzy oglądają wystawy artystów plastyków (zresztą nieliczne w Poznaniu) i czytają równocześnie sprawozdania prasowe z przeglądu wystawionych prac, ogarnia niejednokrotnie rozterka, spowodowana odmienną oceną, jaką stosuje krytyka prasowa, z tym, jaką sobie przeciętny widz o oglądanych pracach wyrobił. Zawodowy krytyk ocenia pod kątem widzenia wartości artystycznych, opartych o pewne kryteria przyjęte przez wykształcone środowisko artystyczne, o czym bardzo mało ma pojęcie „zwykły” śmiertelnik, który jednakże szuka piękna w dziele sztuki. Wprawdzie pojęcie piękna jest rzeczą względną, nie przesadzę jednak, że większość wśród zwiedzających wystawy (wyłączam specjalistów) jest zgodna co do tego, który obraz jest piękny (podoba się) lub który jest brzydki („za nic nie powiesilibyśmy go u siebie na ścianie”). Stąd uważam za celowe, ażeby przeciętny widz sam wypowiadał się na temat oglądanych prac. Myślę, że przybliży to odbiorcy sztuki do twórców z jednej strony, a artystom zwróci uwagę na za interesowania i upodobań odbiorców i dopomoże im tym samym do kształtowania wyrazu plastycznego w swoich pracach.

Z tych względów zdecydowałem się zabrać głos na łamach prasy na temat obecnej wystawy Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Poznańskiego w nadziei, że uwagi te sprowokują artystów do dyskusji nad tym, czy obrany kierunek w wyborze środków wyrażania swoich myśli i wzruszeń — jest słuszny. Do wystąpienia ośmiela mnie jeszcze ten fakt, że artyści domagają się oceny, czego dowodem ankiety pozostawione do wypełnienia przez zwiedzających wystawę.

Obecna wystawa plastyków jest znacznie bogatsza pod względem ilości wystawionych prac niż dotychczasowe, tak dalece, że sala CBWA przy al. Jach Marcinkowskiego nie mogła zebrać prac pomieścić. Część z nich znalazła się w sali przy placu Wolności 4, część zaś skorzystała z gościny Muzeum Narodowego. Ten fakt jeszcze raz potwierdza po

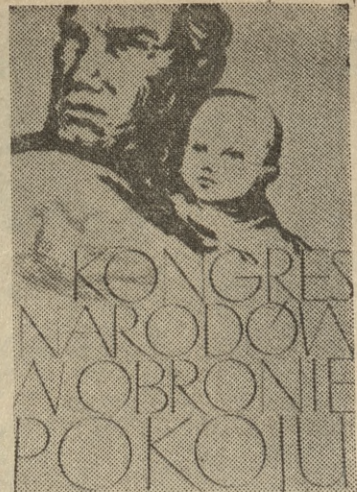
trzebie oddania plastynom odpowiedniej sali wystawowej. Oglądanie bowiem w trzech różnych miejscach wystawionych prac ani nie ułatwia zwiedzania, ani też nie zachęca do niego. Na stosunkowo bogate obciążenie wystawy eksponatami wpłynęło prawdopodobnie to, że nie stanowi ona przeglądu prac ostatniego okresu, lecz i 10-ciolecia.

Osobiście szukam w malarstwie barw, ich zestawień, światła, cieni. Mimo niejednokrotnie bardzo ładnych zestawień kolorystycznych J. Zrzęgorzewskiego, M. Szymańskiego, A. Lenicy, R. Bajonki — prace te jednak mi się nie podobają, mimo że zdobyły nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Ze względu na umiędzynarodowienie się kolorem podobają mi się natomiast prace H. Michałowskiej, Z. Dziurzyńskiej-Rosińskiej, E. Wasilkowskiej „Kwiaty” — chociaż trudno się domyślić, jakie to kwiaty. Miłe są obrazki E. Eichlerowej. Szkoda, że za mało żywych barw było w obrazach D. Krajewskiej i Zmarlińskiej-Dziślewskiej, również odrobiny, w tym samym tonie utrzymany „Cynich” R. Dybaczewskiego. W „Martwej naturze” D. Krajewskiej ta część z kwiatami jest piękna, pozostała natomiast szara, zamazana, brzydka. Kiedy na dworze jeszcze przedwiosenna szarość, kwitną już cyklameny. Ileż taki kwiat wnoszą życia, wesoła, uśmiechów. A tymczasem na obrazie Zmarlińskiej-Dziślewskiej jest on szary, ponury. Podobnie „Tulipany”. Uważam, że do pracowni niektórych artystów należy wpuścić trochę słońca, a nada ono więcej życia nawet martwym naturom. Wydaje się, że nawet dobre (mimo zielonych wąsów) portrety J. Krzyżanowskiego byłyby ładniejsze, gdyby było wiadomo, z której strony światło pada na malowane osoby. Brak słońca (z pewnością i jeszcze czegoś) wpływa na to, że pejzaże A. Matuszewskiego, Z. Kaczmarekiewicza robią wrażenie zwykłych landscape'ów. Poza Brdą i barkami umieszcza J. Szyszko na swym obrazie i parę osób. Z nich dwie kobiety stoją pod parasolem. Przed czym się owe niewiasty chronią, przed słońcem czy deszczem? — trudno odgadnąć. „Wiosna” Z. Szumana jest tak jednostajna,

tyle w niej melancholia, że nie chce się wierzyć, że to wiosna.

Rzeźb, w przeciwieństwie do licznie wystawionej grafiki, stosunkowo niedużo. Miłe są drobne prace W. Gosławskiej. W „Projekcie pomnika zabikowskiego” za dużo bohaterskich piersi, a za mało męczeństwa. Oglądając rzeźbę mimowoli nasuwa się pytanie, na jakich kryteriach opierała komisja ocenę takich rzeźb jak „Głowa”? Bo jeśli już jest pod rzeźbą podpis „Głowa bok sera”, „Głowa robotnika”, „Głowa uczonego” czy też „Dembowski”, to już domyślić się łatwiej, w czym leży treść pracy, ale w samym określeniu „Głowa” — dalibóg nie.

W grafice najwięcej podobają się prace Burkiewicz,



Jeden z plakatów Zb. Kaji, nagrodzony w Wiedniu (1952).

Polańskiego, Krakowskiego. Są jednak rysunki, które robią wrażenie prac amatorskich. Niektóre z nich zdradzają małą znajomość malarstwa przez siebie przedmiotu. Do takich należą „Żniwa” Sandomierskiego.

Pamiętajmy

o Roku Mickiewiczowskim

Sprawa Luboni

Wielkopolska ma szczególne powody do uczczenia Roku Mickiewiczowskiego. Z naszych stron Wieszcz zaczął napisać natchnienie do napisania „Pana Tadeusza”. Wielkopolską też tchną opisy przyrody tej epopei. Asesor i Rejent — to nie kto inny jak wielkopolscy Bojanowcy. Tu też był ostatni pobyt Poety na polskiej ziemi w latach 1831—1832. Nie dziw więc, że pamiątki i miejsca jego pobytu otaczamy szczególną czcią.

Nawet dzieci w Osieku, gdzie Mickiewicz bawił u Zakrzewskich, na pamiątkowej tablicy — niestety bez wyrzytego napisu — piszą kredą: „Adam Mickiewicz”. Robotnicy i kierownictwo doświadczalnego państwowego gospodarstwa w Kopaszewie (pow. Kościan) dbają o dobry wygląd parku, w którym nieraz dumiał poeta.

Niestety, nie roztoczono na leżytej opieki nad innymi miej

scami pobytu Wieszca. Niedawno dopiero zabrano się do uporządkowania Śmiełowa. W Choryni bezmyślnie przerobiono pokój, w którym mieszkał Mickiewicz. Najgorzej spisało się kierownictwo Zespołu PGR Garzyn (pow. Leszno), które w czerwcu br., a więc w Roku Mickiewiczowskim, przystąpiło do rozbioru dworku w Luboni pod Pniewem, gdzie lubił zaglądać i skąd wybierał się z dziećmi na grybobranie nasz Poeta. Ręk burzących za bytkowy dworek, nie powstrzymał nawet napis „Anno 1721 8 lipca” — wyrzuty na belce posowy. Nie powstrzymała pamiągę o Mickiewiczu i powstań czym generale i bajkopisarzu Fr. Morawskim, którego pokój niekiedy zachował się do okupacji.

W dworku lubońskim mieściła się po wojnie świetlica i mieszkanie brygadzysty Józefa Koniecznego. Trzeba było w swoim czasie załatwić tylko dach. Był — jak wiele ludzi twierdzi — sumy na remont. Sumy te za kierownictwa PGR w Oporowie rozplynęły się na inne cele. Nie obchodził go nie zabytkowy i wartościowy obiekt. A koszt w swoim czasie wynosił — grosze. Dziś przywrócenie zrujnowanego domu do normalnego stanu, mimo że wiele elementów rozebranych ze względu na dobry stan będzie wykorzystanych z powrotem, pochłonie bardzo poważne sumy.

Dodać trzeba, że gdyby nie przypadkowa wizytacja konserwatora wojewódzkiego z miłośnikiem zabytków — Władysławem Stachowskim z Gostynia, rozbiorowe prace posunęłyby się już w czerwcu tak daleko, że po zabytkowym dworku pozostałby tylko pusty plac. Wypadek ten i wymienione inne świadczą o tym, że niektóre kierownictwa PGR nie doceniają wcale pamiątek historycznych, bezdusznie podejmują decyzje, które przynoszą na szkodę kulturze duże straty. Świadczy to także o złej pracy Oddziału Kultury w Lesznie, który winien spraw tych pilnować na swoim terenie.

Słuszna jest decyzja konserwatora wojewódzkiego — mgr. Lomnickiego: Odbudować dworek bez żadnych zmian. Zmontować z powrotem powyrywane kominki, rozebrane posy i to w jak najkrótszym czasie. Tymczasem po upływie dwóch miesięcy, przed parudniami stwierdziliśmy, że rozebrany materiał niszczy, że do odbudowy nikt się nie zabiera. Tą drogą apelujemy o pełne zrealizowanie decyzji władz konserwatorskich.

J. P.

Bogdan Danowicz

Poeta pokolenia

IRENEUSZ KANICKI (Wnuczek)



Bezpośrednio po wojnie jednym z numerów programu teatru rewiewego „7 Kotów” w Krakowie był występ Gałczyńskiego, który w rozchętnej koszuli i w niezbyt pedantycznie odprasowanych spodniach — swoją poezją i sposobem jej interpretacji zrobił tak szokujące wrażenie, że pozostałe numery programu, a brała w nich udział m. in. świetna Irena Kwiakowska, wydały się zupełnie blade. Odnosiło się wrażenie, że poeta po raz drugi przeżywa na scenie narodziny wiersza. Tyle w nim było niesłychanie autentycznej prostoty i bezpośredniości. No cóż, Gałczyński był jedynym swego rodzaju fenomenem estrady poetyckiej.

Dziś ze wzruszeniem słuchamy jego niezapomnianego głosu już tylko z płyt. Wiedział dobrze o tym poeta, pisząc specjalnie z myślą o wykonawcy kapitalny monolog pt. „Xymena Półcień” odtworzony w niezapomniany sposób przez Tadeusza Olszę w stołecznym kabarecie „Szpak”.

Wydaje nam się, że Gałczyński napisał jeszcze jeden świetny tekst tak idealnie dopasowany do niepowzdołanego talentu aktora. Mamy na myśli monolog pijaka z „Zielonej Gęsi” pt. „Śmierć Idioty” wykonany na poznańskiej Estradzie Satyrycznej przez Stanisława Mariana Kamińskiego. Dla zobaczenia tego jednego choćby numeru warto pójść do poznańskich satyryków. A nie zapominajmy, że Kamiński w tym samym spektaklu tworzy drugie arcydzieło w roli Raczki wspólnie z dzielnie sekundującym mu Zbigniewem Starskim w roli Adamusa.

„Babcie i wnuczka” poprzedza wia-

zanka poetycka ze zbioru pt. „Satyra, groteska i żart liryczny”.

O ile jednak książkę poety zawierającą ponad 150 „rozmaitości” poetyckich czytamy z nieklamną pasją, o tyle zaledwie sześciu wybranych z tego zbioru i zaprezentowanych nam na estradzie utworów, słuchamy z pewnym rozczarowaniem — za wyjątkiem wspomnianej już „Śmierci idioty”.

Okazuje się, że nieumiejętnością recytowania wiersza i przesadną jego teatralizacją „zarzynać” można nawet Gałczyńskiego. Uroczę słowo poety ginie w nadmiarze gestu, kostiumu, fałszywego patosu i świszczących raz to polykanych znów przez aktorów spółgłosek (na Jowisza, skąd wziął się w „Romancero” ten Filon z „Balladyny”?).

Te same wiersze słyszałem w ubiegłym roku w teatrze „Ateneum” w Warszawie na wieczorach poetyckich poświęconych Gałczyńskiemu. Reżyser i scenograf dali taką oprawę słowu poety, iż królowało ono niepodzielnie. Z urzekających prostotą recytacji aktorów czuło się bezpośrednio „po co są wiersze i ich ruch ku sercu człowieka”.

Jeśli chodzi o farsę „Babcia i wnuczek”, czyli teatralno-pedagogiczny zabieg chirurgiczny „na babinej głowie”, który ma ją wyleczyć z cudomani, to reżyser Tadeusz Muskat i scenograf Andrzej Cybulski ujawnili bujną i naprawdę poetycką wyobraźnię w niepowtarzalnym nigdy stylu — a la Gałczyński.

Aktorzy zle czujący się w recytacji, tutaj odnajdują siebie w rozmachu sytuacji i w potoczności dialogów. Pyszni, jedyni i plastyczny język Gałczyńskiego aż skrzy się od groteskowego humoru, paradoksalnych kalamburów i zabawnych metafor („metafora — bufora”!).

BLANKA ORSZAŃSKA (Babcia)



Na scenie działają prawa konwencji poetyckiej i to zarówno w przenośni jak i w praktyce... pukania do nieistniejących drzwi. Bo wszystko tu odbywa się nie na serio, jak w bajce o Czerwonym Kapturku. A jednak w krzywym zwierciadle „Nocy cudów” widzimy przekrzywione karykaturalnie jakieś bardzo realne rysy znanych nam postaci. „I w końcu krotechwiła już skończona, babcia została ogęsiona!...”

Aktorzy rzucają z siebie teatralne peleryny i cylindry. Szkoda, że nie czynią tego schodzący ze sceny Adamus i Rączka, zachowując do końca jakiś zewnętrzny pseudo-realistyczny kreowany przez siebie postaci. Elizejski ze skrzydłami amorka (?) i damską pończoszką przypomina bardziej „widmo blade” z Dziadów, aniżeli krewkiego i rumianego kucharza z wagonu restauracyjnego „Orbisu”. Podobnie ma się sprawa z osobnikiem nazwiskiem Pleć. Szkodę nie do przebaczenia wyrządził reżyser Gałczyńskiemu powierzając arcykapitałny, parodystyczny monolog aktorowi, który niestety nie sprostał swemu zadaniu.

Na wieczorach poetyckich Gałczyńskiego w warszawskim Ateneum widziałem się dużo młodzieży. To samo w Poznaniu. Stanowczo miał rację A. Wirth pisząc niedawno w „Nowej Kulturze”, że „dziś już zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Gałczyński jest poetą pokolenia...”. Tak, po stołecznemu tak. Dowodzi tego poznańskie przedstawienie, które słusznie uważać możemy za duży sukces w pracy naszej Estrady Satyrycznej.



Pamiętnikowy znaczek pocztowy z podobizną Pałacu Kultury i Nauki.

Ze starych szpargałów

Rzeczpospolita Mosińska

Rzeczpospolita Mosińska naprawdę istniała. Ogłosił ją 3 maja 1848 roku dowódca powstańczego oddziału — Jakub Krauthofer, który w tym dniu zajął Mosinę, wypędził z urzędów pruskich urzędników i mianował polskiego burmistrza.

Dodać musimy, że wspomniany bohater, który w okresie Wiosny Ludów napędził wiele strachu junkrom pruskim — to nie kto inny jak prawnik Bawarczyka — Niemca. Oto, co sam pisze do Komitetu Narodowego 1 kwietnia 1848 r.

„Mój pradziad przesiedlił się zapewne w bieżące, z Scheslitz w Bawarii do Polski, mój dziad i ojciec rozdzielił się i spoczywają wraz z pradziadem na polskiej ziemi, matka moja jest z Ochoczych, matka dzieci moich z Kołudzich, od dawna przeto rodziną moją ojczyzną jest Polska.“

W tym samym też piśmie doniósł o tym, że przybiera nazwisko Krotowski.

Rzeczpospolita Mosińska istniała tylko w deklaracji. W tym samym czasie tak samo powstała Rzeczpospolita Kórnicka i Rzeczpospolita Stęszewska. Były to objawy pragnień demokratycznych niektórych organizatorów wielkopolskiej „ko-synierki“.

Krótką karierę pana Czwikielki

W XVII wieku w Poznaniu przy ulicy Wroclawskiej istniał szynk „Gwiazdka“, w którym służył uczeń Stanisław Czwikielka, a kucharzyla wierna małżonka Małgorzata. Ale takie życie nie podobalo się ich synkowi — Pawłkowi. Dlaczego i on nie może być takim karmazynem, jak ci co zaglądali do traktierii? Powędrował do Warszawy, nazwał się Czwiklińskim. A że po matce znał się na kuchni, na drodze do kariery dorobił się stanowiska — podkuchmistwa królewskiego. Nie długo jednak cieszył się przywilejem szlachecczym i tytułem „cuiusque regiae viceprefectus“. W roku 1658 został wezwany przed Trybunał Piotrkowski, pociągnięto zarzadem do odpowiedzialności dwóch urzędników kancelarii miejskiej za pomoc w zmianie nazwiska i przypisanie mu godności szlacheckiej. Znowu został Czwikielką.

Tak się skończyła kariera młodego Pawła — syna poznańskiego szynkarza.

Najazd biskupa na Zbąszyń

Było to w styczniu 1440 roku. Biskup Andrzej z Bni-na zebrał wojsko złożone z 900 konnych i obległ miasto Zbąszyń. Co się stało, że biskup poznański zbrojnie najechał siedzibę ulubieńca królewskiego i wybitnego dyplomaty — Abrahama? Abraham był opiekunem husytów, przeciwników feudałów kościelnych. Sam też należał do tego ruchu społeczno-religijnego, powstałego w Czechach. Zażądał od zbąszyńskich mieszczan (Abraham pełnił akurat służbę na granicy węgierskiej), aby mu wydali 5 heretyckich księży, których kazał później spalić na stosie. Legenda mówi, że na miejscu ich spalania powstało miasto Opałenica.

E. Białoborski

Wkraczamy w epokę rakietową

Cała postępową i pokojową ludzkość śledzi z niezwykłym zainteresowaniem i uznaniem naukowe współzawodnictwo, jakiego dziś jesteśmy świadkami w dziedzinie komunikacji rakietowej.

Oto w maju bież. roku dowiedzieliśmy się, że przy Radzie Astronomicznej ZSRR w Moskwie został utworzony specjalny komitet dla spraw podróży międzyplanetarnych. Zajął się on przede wszystkim ustaleniem naukowych i technicznych podstaw do zaplanowania, zbudowania i wypuszczenia w przestrzeń pierwszego sztucznego księżycy.

Twór taki, stosunkowo niewielkich rozmiarów, miałby okrążyć Ziemię z prędkością około 8 kilometrów na sekundę i poruszać się w odpowiedniej odległości od powierzchni ziemskiej w sferze próżni międzyplanetarnej, obiegając nasz glob w myśl praw mechaniki planetarnej, podobnie, jak to czyni Księżyc prawdziwy.

Różne aparaty pomiarowe i badawcze, pracujące automatycznie i rejestrujące różne zjawiska przyrody, zachodzące w przestrzeni pozaziemskiej, samoczynnie w drodze radiowej podawałyby stacjom obserwacyjnym na Ziemi wyniki dokonanych obserwacji.

Zebrał w taki sposób dane pozwoliłby skompletować nasze wiadomości co do warunków panujących w przestrzeni, aby uzyskać podstawy naukowe i techniczne do zaprojektowania i budowy pojazdów rakietowych, obsługiwanych już przez ludzi.

W tym miesiącu przyszły wiadomości z Ameryki, że tak-że tam projektuje się skonstruowanie jednego czy nawet kilku podobnych sztucznych księ-

życów, które mają spełniać takie same cele i pracować nie inaczej jak aparaty projektowane przez Związek Radziecki.

Równocześnie niemal profesor Massey, prezes komitetu międzyplanetarnego przy brytyjskim „Royal Society“, oświadczył, że także Anglia zamierza niebawem zbudować swój sztuczny księżyc dla celów naukowo-badawczych.

Do niedawna tylko marzy-ciele i entuzjaści rakietowi, mierzący siłami swych marzeń nienosiadne zamiary podbicia przestrzeni, omawiali serio takie utopie, jak stworzenie przez człowieka i wypuszczenie w przestrzeń sztucznego ciała niebieskiego oraz sprawy komunikacji międzyplanetarnej.

Dziś zabierają się do dzieła organizacje państwowe, dysponujące olbrzymimi środkami materialnymi. „Rakietciarze“, którzy jeszcze parę lat temu byli zupełnie osamotnieni w swoich poczynaniach, dożyli niebawem triumfu. Ich upór w badaniu i rozwijaniu zagadnień rakietowych, ich uporczywa praca przez blisko pół wieku, próby i doświadczenia, podczas których nie obeszło się bez śmiertelnych ofiar (Valier, Tilling i in.), skutkiem przedwczesnych wybuchów materiałów palnych, doprowadziły wreszcie do przełamania martwego punktu.

Tak jak rok 1954 jest znamienym początkiem epoki pokojowego wyzyskania energii atomowej, tak rok 1955 zwiastuje nadejście ery rakietowej, którą zainicjował w roku 1903 radziecki pionier rakiety, Konstanty Ciolkowski, syn Polaka z Wołynia.

W dniach od 1 do 5 sierpnia br obniadów w Kopenhadze szósty Międzynarodowy Kon-

gres Astrohauityczny. Wzięło w nim udział około 150 uczonych, fizyków i astronomów, inżynierów i techników z 16 krajów świata.

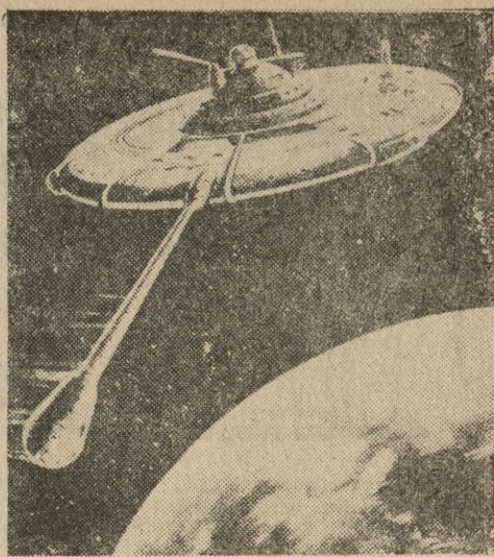
Urzędowe enuncjacje ze stro-ny radzieckiej, amerykańskiej, angielskiej, tworzenie komite-tów dla spraw podróży między-planetarnych, kongresy astro-nauityczne i inne objawy wska-zują na to, że odwieczne ma-rzenia ludzkości: lot ku gwia-zdom, opiewany przez setki pi-sarzy (Lukian z Samosaty, Verne, Zulański itd.) wydaje się już być bliskim urzeczywist-nienia.

Ze wspomnień bywalca operowego⁽⁶⁾

Różycki w areszcie

Ludomir Różycki był artystą z krwi i kości. Ceniony u nas i za granicą kompozytor, utalentowany wielce twórca, był w życiu codziennym prawdziwym „cyganem“ artystycznym. Zawsze pogodny, nie dbający o jutro, szedł sobie przez piękne i twórcze życie śpiewając, zdobywając serca i miłość ludzką. W próbach był własn-ego „Młyn diabelski“, opera bardzo współczesna, której akcja rozgrywała się w atelier filmowym. i w samolocie, i na lotnisku. Premiera była już zapowiedziana, za-interesowanie duże, dekoracje i ko-stiumy gotowe, partie wykute na cement. Brakowało tylko drobno-stki: zakończenia opery. Ludomir Różycki przyrzekł, że zakończenie dośle w terminie. Tymczasem mi-nał termin, a po kompozytorze ślad zaginął. „Kończy zaliczkę“ — mówili wtajemniczeni. Wreszcie, gdy zdenerwowanie doszło do szczytu, Ludomir Różycki zjawia się i z beztrudnym uśmiechem oświadcza, że zakończenia opery

Projekt sztucz-nego Księżycy jako stacji prze-strzennej.



Jeszcze nie ma, „bo mu nie wy-szło“. Na teatr padł smętny po-pioch. A Różycki z miną dziecka mówi, że w ogóle to wszystko za-cyna go nudzić i że nie wie, czy co z tego „wyjdzie“. A tu grunt pali się pod nogami, bo termin pre-miery ustalony.

Wtedy zastosowano środek dra-koński. Korzystając z rozstargnie-nia kompozytora, zamknięto go do prostu w pokoju dyrektorskim. Da-no mu dobrą zakaskę, mocną ka-wę, nie zapomniano również o środkach płynnych, pokrzepiają-cych nadwątłego ducha i pobu-dzających fantazję. Zdeteminowa-nemu artyście oświadczone przy tym, że dopóty nie wypuści się go z aresztu, dopóki nie zakończy swe-go dzieła. Ludomir Różycki zlorze-czył na cały świat, poprzysięgł wszystkim srogą zemstę, rzucał się jak szczupak w sieć, ale zespół nie ustąpił. I co powiecie? Radykalny środek pomógł. Rano mistrz przy-jął nas oziębło, był blade i wy-mokły, ale na stole pyszniło się za-kończenie „Młyna diabelskiego“.

Lecz zemsta artystów, zemsta za igranie z ich nerwami, nie na tym tylko się skończyła. Na premierze Józef Sendekki wyszedł na scenę tak udatnie ucharakteryzowany na Różyckiego, że publiczność rykne-ła donośnym śmiechem. Najgło-sniej jednak śmiał się sam Różycki, który nie potrafił długo chować w sercu urazy.



Karol Urbanowicz jako Me-fisto w operze „Faust“ Gouno-da (1946 r.).

Opieką Zarządu Miejskiego nad teatrami tak w Poznaniu, jak i w innych miastach Polski nie była bardzo szczęśliwa. O losach sztuki i artystów decydowali niejednokro-tne rozmaite decernenci, którzy niewiele ze sceną mieli wspólnego.

Rekord pobił jednak ów sławetny we Lwowie decernent teatralny — Tyczka, który całkiem poważnie za-rzucił kiedyś orkiestrze, że ta o-puszcza się w pracy, gdyż nie wszy-scy muzycy jednocześnie grają...

Za dyrektora Zygmunta Wojcie-chońskiego wystawialiśmy „Quo Vadis“ — Nougessa. Do roli Ursusa, roli niemieł, zaangażowano zawo-owego atlete. Ursus, jak wiadomo, łamie kark siłaczowi Krotonowi i wynosi jego zwłoki. Na to potrze-ba siły!... Atletę spisywał się na próbach bardzo dzielnie, ale nie-mniej dzielnie okazał się Kroton, którego śpiewał ogromnego wzro-stu chórzysta — Janicki. Atletę miał siłę, ale nie umiał poruszać się na scenie. Janicki go więc uczył i to z takim zapalem, że raz na próbie, ku zdumieniu całego zespołu Kro-ton pokonał Ursusa i zniósł go ze sceny...

Tutaj, na poznańskiej scenie ope-rowej, stawiał też swe pierwsze kroki Jan Kiepusa, niegdyś bo-żyszcze wszystkich histeryczek. Przyjeżdżał w wielkiej tajemnicy do Poznania i u dyrektora Piotra Stermicza-Valerociaty uczył się re-peruaru włoskiego, zwłaszcza par-tii z oper Pucciniego. Jaś Kiepusa był mistrzem reklamy, toteż w lot zorganizował sobie klake. Nieste-ty, „entuzjaści“ spólnili się w przerwie na III akt i nie wpuszezo-no ich na widownię. Nie wiem, co się stało. Dość, że oprowadzona pu-bliczność premierowa nie nagrodzi-ła brawami słynnej arii z „Toski“. W przerwie J. Kiepusa prawie z placem chodził po garderobach, pytając się każdego: Jak ja śpie-wałem, dobrze czy źle?...

Wojna rozproszyła nas wszyst-kich po świecie. Po wyzwoleniu organizowałem w Krakowie pierw-szą operę polską i młło mi wspo-mnieć, że wtedy to po raz pierwszy zaśpiewali na scenie tacy śpiewa-cy, jak: Józef Przadka, Aleksander Klonowski, Andrzej Holski, Ed-mund Kossowski, Czesław Kozak. Od r. 1947 pracowałem w Poznaniu, w Szkole Operowej, wieloletniej póź-niej do Wyższej Szkoły Muzycznej. Przybywa mi uczniów, siwych wło-sów i lat. I coraz więcej kocham scenę, wszystkie moje partie, z Me-fistem na czele, cały ten niepowtar-zalny czar sceny. Kiedyś byłem bardzo nieszczęśliwy, gdy złamana noga trzymała mnie z dala od sce-ny i wszystko wskazywało na to, że nigdy już na nią nie wrócę. Na szczęście wróciłem! A kiedy podno-si się kurtynę, znika znów cały świat i zostaje tylko teatr.

Ze wspomnień scenicznych Karola Urbanowicza spisał STANISŁAW KROKOWSKI

MIESZANKA FILMOWA

JEDEN z najbardziej inte-resujących realizatorów francuskich, Jean Renoir, twór-ca takich dzieł jak „Towarzy-sze broni“ i „Marsylanka“ — jak pisał zagraniczna krytyka — „odnalazł samego siebie“ z chwilą, gdy po kilku latach nie-powodzeń przystąpił do reali-zacji filmów barwnych. Renoir jest — jak wiadomo — synem słynnego malarza francuskiego A. Renoira i czerpiąc z doświadczeń swego ojca, użył na-filmu barwnego jak palety. Je-go hinduski film „Rzeka“ zna-lazł mniej uznania, ale następny barwny film „Złota karoca“ według jednokrótki Prospera Merimée stanowi wybitne dzie-ło filmowe, którego okrasą jest kapitalna kreacja Anny Mag-nani w niezwyklej dla tej ar-tystki roli Colombiny.

NIKT NIE JEST prorokiem w swym kraju“. Filmy de Sica i Viscontiego cieszące się olbrzymim powodzeniem na ca-łym świecie, nie przynosiły do-tychczas dochodu producentom tych filmów we Włoszech. Po raz pierwszy koszty filmów tych dwu mistrzów ekranu zo-stały pokryte na rynku włos-kiem. „Cudu“ tego dokonał nie „Cud w Mediolanie“, lecz „Zło-to Neapolu“ (de Sica) i „Zmy-sły“ (Visconti). Krytycy piszą, że po raz pierwszy wysoki po-ziom artystyczny połączył się z sukcesem kasowym. Może byś-my tak ujrżeli te filmy?

NOWY FILM włoski „L'Alle-gro squadrone“ odznacza się niezwykle staranną obsa-dą aktorską. Występują w nim Daniel Gelin, Vittorio de Sica, Charles Vanel, Paolo Stoppa i inni znani we Włoszech akto-rzy. Film jest ostrą satyrą na „życie wojskowe“. Wprawdzie rzecz dzieje się w jakimś wy-imaginowanym państwie, ale sto-sunki ukazane w tym filmie nie budzą żadnej wątpliwości, że chodzi o b. armię włoską. Scenariusz napisali S. C. d'A-mico i Michel Audiard, reżyse-rował Paolo Moffa.

PODCZAS gdy u nas zbliża się premiera filmu „Chleb, miłość i fantazja“ z Giną Lolo-brigidą i Vittorio de Sica, re-żyserii Luigi Comencini, we Francji bije wszelkie rekordy kasowe dalszy ciąg tej komedii pt. „Chleb, miłość i zazdrość“ — w tej samej obsadzie.

Zebrał L. BUK

Dożynki gdzie indziej i u nas

Różne są zwyczaje żniwne w świecie. Związane ze sprzętem najważniejszych dla danego kraju pólów ziemi, przypadają one na różne pory roku.

Murzyni północnej Afryki poka-zali swój obrzęd żniwny na Mię-dzynarodowym Świecie Zbiórów w Warszawie z okazji Festiwalu Mo-dzieżowego. Dla nich najważniej-szy jest sprzęt orzeszków, tak jak u nas sprzęt żbóż. Zresztą radość swoją wypowiadają oni pieśnią i tańcem po zebraniu jakiegokolwiek żywności. Oto noc księżycowa za-padła nad ongiś urodzajnym wy-brzeżem afrykańskim. Przedowni-ca w brązowym okryciu na placu wioskowym, biegnąc, rozpoczyna taniec z sierpem, a za nią cała gru-pa. Rytm wybijają „tam-tam“, po-większa go tupot nóg tancerzy, tempo się wzmacnia, coraz szybciej machają sierpami murzyni, na-sładując ścianie orzeszków. Dziwna to pieśń i chwytająca za serce. Elementy tej melodii spo-tykamy w utworach jazzowych.

Francuzi chyba już zupełnie za-pomnieli o dawnych zwyczajach dożynkowych. Największą wagę przywiązują oni do święta wino-brania.

Duńcecy nie tak dawno jesze-ze wesoło obchodzili święto sprzętu żbóż. Dziś, po tym dawnym zwy-czaju, pozostało kilka tańców i pio-senek. Cechuje je radość i swada młodzieńcza. Jeden z dawnych tańców żniwnych tańczy grupa, złożona z chłopaka i dwóch dziewcząt — trzymających się za chustę. Ten taniec widzieć można było także na Międzynarodowym Świecie Zbiórów. Inne nieco tańce związane z zabawami po zbiorze żbóż pokazali tam również Flino-wie. Niezwykle piękne tańce z ho-lupkami i przysiadami kończą żni-wa w wielu regionach Związku Radzieckiego.

Na wsi chińskiej zobaczyliśmy zu-pelnie coś innego: popisy chłopców z „tańczącymi widłami“. Widły w

niedawno jeszcze zacofanym kraju były bardzo ważnym narzędziem pracy. Obciążone w uchwycie na drzewo brzęczą, kręcą się, wiru-ją, to naśladują ruch wiatraka w rękach młodego Chińczyka, to ska-czą, obracając się na czubku pal-ca, kołując nad głową chłopca, jak osa brzęczą mu nad plecami. Trze-ba być nie lada artystą, by móc widłami tak zręcznie manipulować.

A u nas? Zwyczaje wielkopolskie dobrze znamy. A więc parę słów o zwyczajach z innych stron naszego kraju. Na Podkarpaciu tu i ówdzie w czasie żniw następują wyzwoliny młodego kośnika. Chwy-tają go na polu dziewczęta, musi zdjąć buty i boso przejść pod ostrzami kos, musi dokonać i in-nych wyczynów, m. in. wleźć na wysokie drzewo.

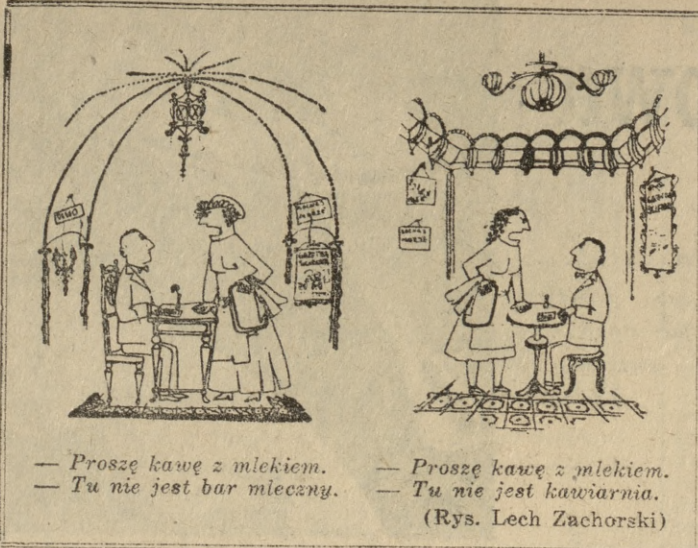
Trochę inaczej wyglądały nie tak dawno dożynki na Mazurach. Świę-to żniw obchodzono tam w nie-dzielną przed dniem św. Jakuba. Dożynki zaczynały się ze ścietem ostatniego kłosa. Główny kośnik nakładał wtenczas wieniec na głowę i rozpoczynał pochód żniwiarzy do wioski, gdzie na dziewczęta cze-kał już... dyngus. Wiercono, że im więcej wody wyleje się im na głowę, tym lepszy będzie urodzaj żniw-ny w roku następnym. A jeśli we-śli nie było stawu, skąd można było czerpać wodę na oblewanie, pojmana dziewczyna musiała o-bejść wszystkich chłopców i na ża-danie obdarzyć pocałunkami. Od-mowy być nie mogło. A potem przoszono na obiad. Raczono tra-dycyjnie czernią, kaszą z miodem i kluskami z makiem.

Wiele ze zwyczajów dożynko-wych już zaginęło wraz z sierpem i kosą. Pozostała jedynie nasza sta-ra, przepiękna melodia „Płon nie-siemy, płon“, z tym, że co roku młodzież świetlicowa dorabia do niej nowe słowa, zawierające po-dsumowanie pracy żniwnej i dzie-łające sprawiedliwie nagany i po-chwały.

(6)

W górach i nad morzem, w najpiękniejszych zakątkach naszego kraju dziesiątki tysięcy dzieci zdobywa zdrowie i siły przed nowym rokiem szkolnym.

(Fot. Z. Wdowiński)



— Proszę kawę z mlekiem.
— Tu nie jest bar mleczny.

— Proszę kawę z mlekiem.
— Tu nie jest kawiarnia.

(Rys. Lech Zachorski)

S. Marszak

Bajka o kurzej ślepcie

— Po cóż to z kraju aż po kraj
zorano dzisiaj błonie?...
— żalił się gniadosz, głośno rżał,
jak rża zazwyczaj konie.

— Tak piękna była deseń pól
do dzisiaj, do poranku,
teraz nie zdołasz znaleźć tu
ni chwastu, ni rumianku.

— Tak, tak — potwierdził wrony koń
chłop durny plugiem, broną
zniszczył zupełnie piękną błon,
chyba na złość nam, koniom.

— Pszenicę, żyta cały stóg
wczoraj ledwie sprzątnęli
i wiesz, ma kumo, zwieźli tu
do młyna, aby zmieścić.

I pomyśl, ziarno! — pyszny wikt,
najprzedniejsza kultura! —
a oni pył z niej robią w mig —
gdakała stara kura.

Morał:
Zawsze się w życiu znajdzie ktoś,
co nas potępić gotów,
patrzac na sprawy płytko dość
z wyżyn kurzego lotu.

Tum. JÓZEF RATAJCZAK

Tadeusz Multański

WIEŻ Z TERENEM

G. 8 rano — Mam dzisiaj
do opracowania terminowe
sprawozdania. Chyba zdążyć.
Trzeba się z miejsca wziąć do
roboty.

G. 9 — Wezwał mnie pre-
zes. Do GS-u przyjechał
przedstawiciel PZGS-u po li-
nii walki z mankami, aby zba-
dać na miejscu tzw. przyczyny
obiektywne. Musiałem mu dać
dane o wysokości mank w na-
szych placówkach z wyszcze-
gólnieniem, które z nich były
umyślne, a które powstały na
skutek braku nadzoru czynni-
ków odgórnych naszej gmin-
nej spółdzielni. Straciłem go-
dzinę... Trzeba się będzie spie-
szyc, aby zdążyć ze sprawo-
zdaniami.

G. 10 — Wezwany po raz
drugi do prezesa zastałem chu-
dego bruneta, który niskim ba-
rytonem powiedział:

— Ja tu z WZGS-u. Potrze-
ba mi, kolego, danych, jakich
towarów u was brak w poszcze-
gólnych punktach sprzedaży
detalicznej, a jakich jest nad-
miar z rozbiorem na towary
spożywcze, włókiennicze, sma-
ry, oliwy i żelazo. Interesuje
mnie specjalnie długość łańcu-
chów posiadanych w sklepach
oraz rozmiary guzików do ka-
mielek.

— Może by szanowny oby-
watel raczyć wziąć te dane z
terenu. Po linii więzi z tere-

nem! — zaproponowałem nie-
śmiało, ale chudy brunet nie
dosłyszał.

G. 11 — Ja w ramach akcji
kontraktacji i czujności o wła-
ściwy styl pracy w gminnych
spółdzielniach, kolego. Z Cen-
trali Nasiennej! — powiedzia-
ła sympatyczna blondynka, któ-
ra połatygowała się osobście
do mojego biurka. — Dla was
to głupstwo, a ja — rozumie-
cie, w ramach więzi z terenem
mam bardzo mało czasu. Drob-
nostka: podajcie mi tylko, kto
kontraktuje, jak kontraktuje i
co kontraktuje. Dodajcie do
tego krótkie sprawozdanie opi-
sowe, najwyżej na 7-8 stron
maszynopisu z charakterysty-
ką przebiegu akcji oraz z de-
zyderatami odnośnie przysz-
łego sezonu i postemplujcie mi
delegację.

G. 13 — Ja z centrali, ko-
lego! Jak tam u was z akcją
k.o. Ile odczytów planowa-
nych, ile wykonanych, ile im-
prez masowych, czy macie ba-
let, czy zespół brał czynny u-
dział w pierwszej lustracji
stonki ziemniaczanej, jakie o-
soby wyróżniały się w pracy
k.o. oraz czy planujecie stwo-
rzenie zespołu pieśni i tańca?
Aha — dajcie przy okazji pie-
czątkę na delegacji. Datę sam
postawię.

G. 14 — W naradzie robo-
czej wzięli udział delegaci

Ryszard Podlewski

Niedziela za miastem

(Z listów

Wiktorii Bzdurskiej)

Wybraliśmy się w którąś nie-
dziełę do Puszczykowa.
Pekniowska z mężem położyła
się na głównej plaży i chociaż
z braku miejsca mogli leżeć
tylko na zmianę, wolala cisnąć
się wśród ludzi, byle tylko móc
pokazać jak to się na urlopie
opalała. Ponieważ przyjecha-
liśmy z dziećmi, zrzędnialiśmy
się z głównej plaży i udaliśmy
się dalej na poszukiwanie u-
stannego miejsca. Ubawiliśmy
się tego dnia wspaniale, a
wszystko dzięki pomysłowi na-
szych chłopców. Najpierw Fra-
nek chciał pokazać jakim to
on jest „narybkiem sporto-

wym”. Nurkował i dla zabawy
objadał rybakom przynętę z
haczyków, dopóki go któryś
przypadkowo nie wyłowił, a ra-
czej dopóki nie wyłowił mu spo-
denek, bo Franek przytomnie
wyskoczył z kąpieli i u-
ciekł. Potem znowu Kazik zro-
bił doskonały kawał ojcu. Zaw-
sze myślałam, że z niego coś
wyrośnie, ale na plaży okazało
się, że to prawdziwy „zatopek”.
Wyobraźcie sobie, że zatopił
ojcu szwajcarski zegarek, a
mnie torbę z całodziennym u-
trzymaniem. Myślałam, że
skoro „utrzymanie”, to się u-
trzyma na powierzchni wody,
ale ono poszło na dno. Ojciec
powiedział, że zegarek jest
szwajcarski i wodoszczelny i że
dlatego woda mu nie zaszkodzi.
Nurkował za zegarkiem kilka-
nascie razy. Okazało się jed-
nak, że zegarek był wodoszczel-
ny, ale ojciec nie. Napił się wo-
dy i nie chciał wypłynąć, mu-
sieli go dopiero wyciągnąć.

Ile to radości dostarczają
dzieci. Pekniowska twierdzi
złośliwie, że nasi chłopcy są
„rozburmanieni”, ale to
wszystko z zazdrości, że nie
ona ma tak inteligentne dzieci.
Przed wyjazdem do domu o-
glądaliśmy znowu ciekawe zda-
rzenie. Kilku mężczyzn popiło
się na zielonej trawie i rycza-
ło głośno jakieś piosenki, a po-
tem rzucali pustymi butelkami
w przechodniów. Wreszcie za-
łożyli się, który wyżej wdrapie
się na sosnę. Jeden wdrapał
się nawet dość wysoko, ale wi-
dać, nie mógł patrzeć z góry i

zrobiło mu się niedobrze, bo
spadł z drzewa. Następni chcie-
li również robić to samo, ale
im przeszkodziła milicja. Ktoś
powiedział, że to niesprawied-
liwe, bo Puszczykowo należy
do „Wielkopolskiego Parku Na-
rodowego”, a na tym terenie
obowiązuje „opieka nad zwie-
rzętami”. Co to miało do rze-
czy, tego nie mogłam zrozu-
mieć. W każdym razie jeste-
my z wycieczki zadowoleni i za
tydzień jedziemy znowu.

WIKTORIA



— Mówi naczelnny dyrektor
Ważniak, kto przy aparacie?
Halo! Halo!



— Chwileczkę, jeszcze nie
skończyłem się kłaniać.
Rys. Zbigniew Kiulin

Włodzimierz Scisłowski

FRASZKI

NA PEWNEJ PREMIERZE
Wejście drzwi zamknięto szczelnie —
kiedy jest przeciąg — pryska złuda!
Lecz nie pomaga to zupełnie.
I tak ze sceny wieje. Nuda.

DRAMATURGOWI

Ciężar gatunkowy czuję w twojej sztuce —
taki, że go z ulgą z pamięci swej zrzucę.

SPOSTRZEŻENIE

Jesteś jak kalendarz — rzekłem raz dziewczynie,
bo też się czerwienisz od święta jedynie.

NA PISMO LITERACKIE W POZNANIU

Nikt już nie nabierze
w sprawie pisma dziś mnie —
zamiast na papierze —
pismo wleją na piśmie.



— Zdaje się, że nareszcie naprawiliśmy...
Rys. H. Derwich

ALFRED SIKORSKI

O tatarskich juhasach i matce czworga Ursusów

Szanowny Kolego Redaktorze!

Emilia jest dobrym pracow-
nikiem. Wie, czym żyje jej zakład
pracy, kto, z kim, gdzie i kiedy
poflirtuje, kto, z kim się pokłóci,
kto, z kim poartuje, kto z kogo
się pośmieje.

Emilia pracuje w hali maszyn i
każdą wolniejszą chwilę poświęca
konstruktywnym rozmowom z ko-
leżankami na temat osiągnięć za-
kładu w dziedzinie produkcji kul-
turalnej — bo zakład, w którym
ona pracuje, należy do resortu
kultury.

Nie można też powiedzieć, żeby
Emilia razem z koleżankami nie
doszła do siebie kulturalnie, żeby
nie czytała naszych i obcych pi-
sarzy, żeby nie interesowała się kul-
tura muzyczna. Zna nazwiska kom-
pozytorów, poznaje tytuły oper i
różnych innych kompozycji, na-
zwiska artystów, występujących na
estradach sal koncertowych i w ra-
diu.

To wszystko ułatwia Emilii i jej
koleżankom pisanie tekstów, w któ-
rych systematycznie od kilku lat
zdarza się coraz to mniej błędów.
Wiadomo — zna się sprawy kul-
tury, stają się one bliskie sercu
maszynistek. Stosując metodę de-
dukcyj w ustalaniu bezbłędnych
maszynopisów, dość można łatwo
do wniosku, że przy systematycz-
nym doszkalanu się i przy wyso-

kiej chłonności przez Emilie i jej
koleżanki wszelkich zagadnień kul-
turalnych — w ciągu najbliższych
5 lat będziemy już otrzymywać bez
błędne teksty. I wtedy nie zdarza
się na pewno takie błędy maszy-
nowe, jakie Emilia i jej koleżanki
popelniały jeszcze na tym etapie.
Na ich usprawiedliwienie trzeba
powiedzieć, że i redaktorzy składa-
jący rękopisy w hali maszyn, nie są
wolni od winy i błędów — no, bo
nierzawie łatwiej byłoby odczytać
hieroglify egipskie niż rękopis re-
daktorski. Ponieważ jednak Emilia
i jej koleżanki podchodzą do spra-
wy rękopisów inteligentnie, uważ-
nie i myślnie, nie wiem, na karb
czego niedopatrzania złożyć na-
leży takie na przykład maszynowe
nieporozumienia: „Nagranie kon-
feransjerki partyjno - technicz-
nej...” — miało być: „konfe-
rencyj!” Albo: „Marsz korona-
cyjny z opery „Parobek” — a
przebieg chodzący po prostu o ope-
rę Meyerbeera „Prokoki”.
Stróżom nocnym kazali Emilia i
jej koleżanki „pielegnować” o-
biekty” — zamiast „pilnować
obiektyw”. W streszczeniu
I. aktu opery „Norma” — Belli-
niego, której akcja rozgrywa się
w epoce rzymskich podbojów w
Gali, czytamy: „Sewerowski w
Rzymie udaje się rozproszyć oba-
wy Adalgiży”. Wprawdzie Sewerus
był rzymskim prokonsulem, lecz,

jeśli chodzi o obawy Adalgiży, to
udało mu się je rozproszyć w
r o z m o w i e... Znajomość
folkloru i geografii u Emilii i jej
koleżanek przejawiała się w takim
określeniu: „pieśni tatarskich ju-
hasów...”. A tu chodziło po prostu
o tatarskich juhasów!
Albo: „międzynarodowe zawody
lekkoatletyczne Kraków — Po-
znań!” Drobiazg — miało być
międzymiastowe! Nie
można powiedzieć, żeby Emilia i
jej koleżanki i w sprawie trakto-
rów nie były na bieżąco! Oto przy-
kład: „Matka czworga zdrowych
Ursusów”. A jak miało brzmieć?
Po prostu — urwisów! W spra-
wach egzaminów maturalnych
wprowadziły nasze znajome cen-
zus majątkowy, pisząc: „Możliwe
przerabiania pytania egzaminacyjne
ze słabszymi...”. Drobiazg! Chodzi
o tył o jedną literkę C, zamiast
Z — a o c n i e j s i ! Liczny i gor-
liwy udział Emilii i jej koleżanek
we wszelkiego rodzaju zebraniach
kazał im sila przyzwyczajenia i
rozpedu napisać: „Audycje ple-
narne na lipiec” — a chodziło prze-
cież o audycje p l a n o w a n e !

Ten wykaz osiągnięć w ostatnim
czasie dość przypadkowo wynoto-
wany z maszynopisów Emilii i jej
koleżanek, jest oczywiście niepeł-
ny. Myślę, że daruję mi one ma-
nedokładność.

W Scisłowski

L. Konopiński

„Wycieczka“

Wszyscy wcześniej wstali
z łóżek —
Dziś od rana wielki ruch,
Poruszenie w całym biurze
Każdy zwija się za dwóch!

Panna Lala wystrojona,
Przed lusterkiem kręci lok
I wcierać krem w ramiona
W pantofelki ubija wzrok.

A pan Edzio przy swych
spodniach
— Taki to już z niego frant —
Reguluje znów jak co dnia
Wypieszczony, ostry kant

Lecz pryskają wnet rozmowy —
Ktoś transparent wielki wniósł,
Bo nadjechał już firmowy,
Umajony liściami wóz.

Wsiadli wszyscy na wchik —
I pan Edzio także wszedł,
— Tu uwagę jego przykuł
Obnażony Lali grzbiet

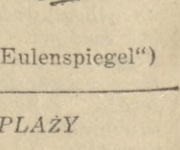
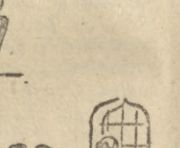
Pojechali — pojechali...
I mijali łąki, las —
Edzio tulił się do Lali,
Szofer równo cienił gaz...

I wysiedli w Pegeerze —
— Na ruin rzucił się kto żywy —
A w tej sielskiej atmosferze
Wnet poczuł zapach niw.

Nie zwlekając, mknę ekipa,
By wykapać się wśród trzcin,
Potem był do lasu wypad...
No i wreszcie nadszedł czyn!!!

Ustawili snopków parę,
Przepłoszyli z owsa gęś
I rozpięli znów transparent —
„UMACNIAJMY ZE WSIĄ
WIEŻ!!!”

MIŁOŚĆ LEKARZA



(„Eulenspiegel“)

NA PLAŻY



— Mamusi, gdzie jesteś?...
(N. B. J.)

Rysunek
bez
podpisu

(„Paris Match“)

